

Sędzia pytał go dalej z naciskiem:  
 — Wszakże piłeś... nieprawdaż?  
 Jintot prawie nieznacznie skinął głową.  
 — Tak, trochę...  
 — Zatem odwiedziły pańskie u Laborda... to także bajka?  
 Doktor zachnął się całym ciałem.  
 — Broń Boże!... Poleciłem, żeby mnie wezwano, gdyby okazała się potrzeba... uwiadomiono mnie zatem.  
 — Komu wydałeś polecenie?  
 — Młodemu służącemu, który się zwie Jakób...  
 — Więc to on doniósł, że Laborda wzywa pana?  
 — Tak... To jest powiedział mi, że Laborda chce mówić z dyrektorem. Żeby nie budzić pana Manescault poszedłem sam. Wszystko następnie działo się tak, jak to już raz opowiadałem.  
 — Czy służący pański twierdził, że telefonowano z Pawilonu Bzów?  
 — Nic nie twierdził. Zawiadomił mnie tylko, że Laborda pragnie się widzieć z dyrektorem Manescault. Nie wiedząc, że telefon nie funkcjonuje, przypuszczałem, że telefonowano do mnie z pawilonu...  
 — W jakim sposób ów młody człowiek dowiedział się o żądaniu pana Laborda?

— Nic nie wiem. Należałoby go o to zapytać.

Po tych słowach, Maurycy Berthaut niemal głośno zachichotał szyderczym śmiechem.

Sędzia, który śmiech jego posłyszał, zwrócił się ku niemu:

— Co pan mówi?

— Powiadam, że z Jakóba nie łatwo będzie wydobyć jakiegokolwiek bądź wyjaśnienia.

— Dlaczego?

— Bo to wariat!

— Wariat?

— Może tylko idyota...

— Który pomimo to jest służącym?

— Och! w ogólności jest do niczego!... Tylko pan doktor Jintot używa go do własnej posługi!

— Proszę mi powiedzieć, w jakim charakterze bawi w zakładzie?

Jintot zabrał głos.

— Mniej więcej dwadzieścia lat temu, Jakób urodził się w zakładzie z matki wariatki. Rodzina uznać go nie chciała. W obawie wyniknąć stąd mogącego skandalu, pan Manescault kazał go zapisać w merostwie, jako dziecko nieznanego ojca i nieznannej matki, sam zaś podjął się chłopca wychować... Jakób nie jest ani obłąkany, ani idyota, chociaż w rzeczy samej nie posiada w całej pełni wszystkich władz umysłowych, jak ludzie należycie rozwinięci... Jest dobry, usłużny, bardzo zręczny i kochający tych, którzy się z nim obchodzą życzliwie. Oddaje w domu tysiączne usługi... Sąd jego o rzeczach bywa zwykle wcale sprawiedliwy, tylko jest to sąd siedmioletniego dziecka...

— I to takiemu niewiniątku kazałeś się zastępować w chwili, gdy pochłaniałeś narkotyki?

Jintot odpowiedział z rozdrażnieniem nerwowym, nad którym jednak ciągle jeszcze panował:

— Nie zastępować!... Siedział w b'urze, bo miał poleczone zawiadomić mnie, gdybym był wzywany. No! i spełnił to jak najściślej w ciągu nocy, która interesuje pana sędziego.

— Zatem, udałeś się pan do tego nieszczęśliwego Laborda upojony eterem?

Doktor wzruszył pogardliwie ramionami i powtórzył:

— Upojony eterem!... Czy pan wie, co to jest upojenie eterem?

— A niechże mnie Bóg broni! — krzyknął sędzia ze wstrętem.

— W takim razie, jeżeli pan nie wie, dlaczego mówisz o tem? Ten, kto zażywanie eteru ma w zwyczaju, otrzasa się z jego wpływu w jednej chwili.

— Nigdy w to nie uwierzę!

— Więc nigdy w tym względzie nie będziesz mieć słuszności! — odparł doktor spokojnie. — Otóż teraz na przykład, czy pan sądzi, że jestem pijany? A jednak, na godzinę przed przybyciem tutaj, zażyłem najsilniejszą dawkę eteru, jaką kiedykolwiek dotąd zdarzyło mi się zażyć.

Sędzia patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami.

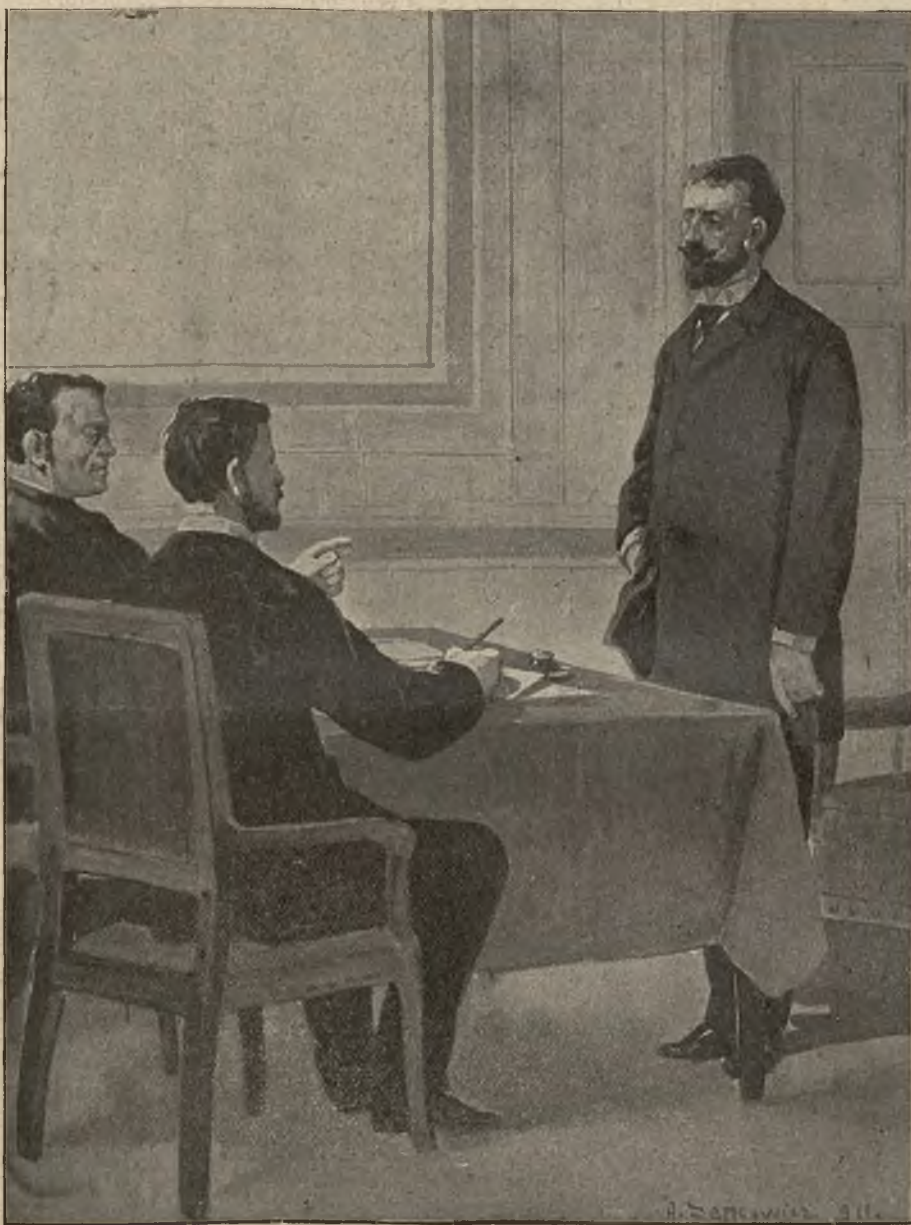
— Czy być może?

— Najniezawodniej!... I widzi pan, że pojmuję dobrze, co pan mówi, że jestem w stanie rozumować i odpowiadać na pańskie pytania. Tak się dzieje zawsze i tak było w nocy, w ciągu której dyrektor i Laborda śmierć ponieśli. A śmierć ich... nie przestanę w to wierzyć... wywołana została napadem szaleństwa u człowieka, który zwaryował nagle, a uduszony został w spazmie agonii przez doktora Manescault.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, a pragnąc zaszachować doktora, którego zimna krew niecierpliwiła go do najwyższego stopnia, Deverrier prze rzucił się niespodzianie do całkiem innego przedmiotu i zapytał:

— Czy wiedział pan o depozycie papierów wartościowych, złożonych przez Laborda u doktora Manescault?... Czy depozyt ten przechodził przez ręce pańskie?

Lecz Jintot odpowiedział bez wszelkiego pomieszanania:



— Zaprzecz pan, że nie piłeś eteru!?

— Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć.

— Byłeś przecie przyjacielem Laborda. Czyżby nie zwierzył się panu z posiadanych akcyj, opiewających na znaczną sumę?

Doktor, zirytowany nieco, odparł podniesionym głosem:

— Zdaje mi się, że już raz panu powiedziałem, że nie byłem przyjacielem pana Laborda! Tak, jak nie jestem przyjacielem setki pasażerów, z którymi odbywałem podróże, gdy spełniałem obowiązki lekarza na pokładzie statku „Argentin“. Były to stosunki efemeryczne... Jeśli Laborda posiadał papiery wartościowe, postąpił rozsądnie powierzając je dyrektorowi zakładu. Mnie to obchodzić nie mogło, zwłaszcza, że nic o tem nie wiedziałem.

Deverrier podniósł się na fotelu, uszczęśliwiony lekkim rozdrażnieniem, jakie udało mu się wywołać w badanym. Oczy jego zamigotały i głos stał się ostrzejszy, sądził bowiem — widząc wzruszenie doktora — że słowa, które przygotowywał się wyrzec, wyprowadzą Jintota z rozważnej cierpliwości, z jaką prawie ciągle słuchał sędziego i odpowiadał na jego pytania.

— Jeśli nic nie wiedziałeś o istnieniu owych akcyj, oraz o miejscu, w jakim się znajdowały,

czemże się dzieje, że znaleziono u pana starannie ukrytą pustą teczkę, która je przedtem mieściła w sobie?

Doktor, wytrzymał natarcie, nie drgnawszy nawet.

— Nie rozumiem ani słówka z tego, co pan teraz mówi do mnie!

— Czy zaprzeczasz, że teczkę znaleziono w pańskich papierach?

— Nic nie zaprzeczam, bo nic nie wiem... Nie wiem o jaką teczkę mnie pan pyta!

— Jest to rodzaj portfela, teczka szeroka z zielonego, nieco przetartego saianu, podszyta podartą, jedwabną, zieloną podszewką, opatrzona rzemykami płowego koloru, przymocowanymi do niej ordynarnymi nićmi, zamykana na kluczyk, który pozostał w posiadaniu pana Laborda.

— Jeśli jakiś przedmiot, należący do nieboszczyka, znajduje się u mnie, to znaczy, że go ktoś przyniósł i tam położył! — wymówił doktor głosem głuchym i zdławionym.

Poczem wyprostował się, odkaslnął kaszlem nerwowym dla oczyszczenia głosu i ciągnął dalej z większym niż przedtem ożywieniem:

— Proszę mi wytłumaczyć, o co mnie obwiniają? Bo spostrzegam nareszcie, że nie jestem, jak sądziłem dotąd, tylko świadkiem, lecz pan chce narzucić mi rolę oskarżonego! Wyobrażasz sobie, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że Laborda i Manescault zostali zamordowani przez osobę trzecią, interesowaną w ich śmierci... i rozbijasz się na prawo i lewo, żeby znaleźć mordercę. Czy to ja zostałem wybrany na ofiarę?... Powiedz pan szczerze, bo w takim razie pomyślę o środkach obrony, widzę bowiem, że pragniesz podejść mnie znieścacka.

Na sercu sędziego śledczego ciążyło jeszcze świeże niepowodzenie ze zbyt pośpiesznie prowadzonego śledztwa z panią Manescault i jej bratem, zatem tym razem chciał działać dopiero na dokładnie stwierdzonej podstawie.

Więc uśmiechając się, mówił niemal dobroncznym tonem:

— Nie oskarżam cię doktorze, ale fakta same cię kompromitują, moim zaś obowiązkiem jest oświetlić należycie ciemne strony tej przykłej sprawy.

Jintot zapytał krótko:

— Jakie ciemne strony?

— Te, które uwidoczniły się w naszej rozmowie. Przedewszystkiem twierdzisz, że udałeś się do Laborda, aby oszczędzić fatygi dyrektorowi, którego Laborda wzywał. Tymczasem inne zeznania dowodzą, że wezwania tego nie było wcale, co przyznać powinienes...

— Było!... Otrzymałem je, jeśli nie sam, to za pośrednictwem Jakóbka!

— To nie jest poważne tłumaczenie!... Powołujesz się na jednostkę na wpół obłąkaną, której świadectwo nie ma żadnego znaczenia! Zatem,

mamy prawo podejrzewać, że udałeś się do Pawilonu Bzów nie wzywany przez pana Laborda, a może nawet wbrew jego woli...

Jintot przerwał gwałtownie:

— Wbrew jego woli?! Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że niespodzianie zaskoczyłem tego człowieka w nocy, ażeby go zamordować?

Sędzia — jakby nie słyszał wyrazów, którymi doktor przerwał mu mowę — ciągnął:

— Przyznajesz, że sam powiedziałeś dyrektorowi, że jego pacjent żąda widzieć się z nim o tak późnej, nocnej porze. Twierdzisz następnie, że nie towarzyszyłeś swemu przełożonemu do pawilonu, lecz na ten fakt nie zdołaś chyba przedstawić żadnego dowodu. Możemy zatem przypuszczać, że poszedłeś za nim jawnie, albo skrycie...

— Ażeby go także zamordować?... Nie!... to staje się poprostu śmieszne!

(Dalszy ciąg nastąpi).